

Alfred Siatecki

KOCHA
nie oczekując
wzajemności



Alfred Siatecki

KOCHA
nie oczekując
wzajemności



Kocha, nie oczekując wzajemności
wydanie pierwsze, ISBN 978-83-67348-43-0

© Alfred Siatecki i Wydawnictwo Agrafka 2022

Redakcja i Korekta
Anna Jakubek

Skład i Łamanie
Magdalena Witkowska

Okładka
Krzysztof Fabrowski

Druk i Oprawa
Print Group

Wydawca
Wydawnictwo Agrafka
ul. Macierzankowa 15
64-514 Przeclaw
e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com
www.wydawnictwoagrafka.pl

Dla Misi i jej mamy

Dom bez psa i kota

jest tylko zwykłym mieszkaniem.

Gdzieś przeczytane

Gacek był inteligentny

Pies Seiferta docieka, że każdy facet, wcześniej czy później, musi mieć swego psa.

Krzysztof Fedorowicz ,

Zaświaty

– MASZ PRAWIE WSZYSTKO. No pra-wie – sylabizując, poprawił się Darek Myśliwiec. – Do zakosztowania pełni szczęścia brakuje ci jedynie najlepszego przyjaciela lub przyjaciółki. Czyli...

– O czym ty...? – odezwał się Mateusz Piesiewicz, robiąc pytającą minę. Od dawna traktował Darka nie jak jeszcze jednego kolegę i podwładnego z kancelarii, lecz jak brata łątę na dobre i złe czasy.

– ...psiny – dokończył Darek z udawaną powagą, a widząc zaskoczenie w oczach Mateusza, wyszedł ze swojego boksu, roześmiał się i położył dłoń na jego ramieniu, jakby przeproszał za nieobyczajne zachowanie. – Coś o tym wiem.

Od zeszłego lata Darek miał biszkoptową labradorkę Francę i nowiutki dom w Barcikowicach Dużych, za którymi są Barcikowice Średnie, gdzie mieszka Grażka, i na samym końcu Barcikowice Małe, wciśnięte między nadrzeczne łąki, las i drogę szybkiego ruchu, dokąd jeszcze nie dojeżdżają miejskie autobusy.

Niedługo i tam staną pierwsze domy, bo wioski wokół miasta za-mienią się w przedmieścia i wtedy pojawią się miejskie autobusy.

Było to zaraz po tym, jak Mateusz Piesiewicz pochwalił się swojemu przyjacielowi, że niebawem wyniesie się z mieszkanka na dziewiątym piętrze do parterowego domu ze spadzistym dachem

i garażem na osiedlu Kresowym, zwanym także Za Bugiem, które z osady na obrzeżach miasta powoli staje się przyleśną dzielnicą zamieszkałą przez naprawdę majątne osoby. Gdy Mateusz zdecydował się na kupno domu przy Podolskiej, Aldona, Szczepek i jego narzeczona Ola spytali, czy pomyślał o zwierzętach.

– Innemu może tak, ale tobie, szefie, nie powinienem tłumaczyć, że dom to nie tylko cztery ściany pod spadzistym dachem, w nich żona, dzieci i graty. To również... zwierzaki – dodał Darek z powagą, jakiej Mateusz się po nim nie spodziewał.

– Z domu jestem Kotowska, po mężu nazywam się Buda-chowiak. Dlatego nikt nie powinien się dziwić, że lubię koty – powiedziała Grażka, po czym roześmiała się dyskretnie i dorzuciła:

– One niewątpliwie mnie też lubią.

– A ja dlatego że jestem Piesiewicz, powinienem lubić psy.

– Sam doszedłeś do tego wniosku – stwierdził Darek. Miał

ochotę dodać, że gdyby nazwisko miało coś wspólnego z tym, czym się zajmujesz, on musiałby polować, ponieważ nazywa się Myśliwiec. Jego matka pochodzi z Krakowiaków, urodziła się w Szczecinie, gdzie dziadek był urzędnikiem, jeszcze na studiach wyszła za koszalinianina, a mieszka w Słupsku.

– Ponadto, drogi Mateuszu, kogo stać na duży dom z po-kaźnym ogródkiem na osiedlu pachnącym lasem sosnowym, ten powinien mieć otwarte serce dla zwierząt w ogóle, a dla zwierząt domowych szczególnie. – Odkąd razem tworzą ten sam zespół komorniczy, Grażka zawsze trzyma stronę Darka.

– Czy macie na myśli kury, kaczki, gęsi, indyki, perliczki, kozy, krowy? Może konie i świnie? I...? – Mateusz zastanawiał się, jakie jeszcze inne zwierzęta widział na wsi, gdy odezwał się Darek:

– Spośród wszystkich zwierząt najwierniejszym przyjacielem człowieka jest nie kot, lecz pies. Tak twierdzi Hanka,

moja koleżanka z liceum, prowadząca klinikę weterynaryjną przy Olbrychta, to z pewnością zna się na zwierzętach.

Mateusz coś o tym wiedział z dzieciństwa. Jako uczeń drugiej klasy szkoły podstawowej przyniósł do domu sześciotygodniowego psiaka, na pierwszy rzut oka podobnego do owczarka niemieckiego. Zanim matka się zorientowała, że to kundelek od suki z sąsiedztwa, i go skrzyczała, szczeniak już miał imię i posła-nie w pudełku po butach pod stołem w kuchni.

Jak było do przewidzenia, dogłądanie psiaka szybko się znudziło Mateuszowi, matka więc go karmiła, poila, przytulała i po nim sprzątała. Gdy Morus podrósł i przede wszystkim dlatego nie mógł spać pod stołem w kuchni, ojciec Mateusza zbił budę z desek i wyścielił słomą podłogę. Mimo to pies zawsze leżał w cieniu przy furtce jakby rozumiał, że jego obowiązkiem jest warowanie w tym miejscu, aby nikt obcy nie wszedł na podwórze.

Morus nigdy nie odpędzał kur, które grzebały w piasku obok jego ogona, nie warczał na kaczki i nie zwracał uwagi na kotkę wygrzewającą się na ławce przed domem. Podnosił się jedynie wtedy, kiedy chciało mu się pić lub gdy listonosz zsiadał z roweru, ale nie szczekał na niego, tylko biegł po matkę Mateusza.

Zdaniem jego ojca Morus był najmądrzejszym i najwierniejszym psem, z czym matka się nie zgadzała, bo każdej wiosny znikał na dzień, dwa, a po powrocie na podwórze najpierw długo spał w budzie, potem pił, jadł i lizał rany, zanim wrócił na swoje miejsce przed furtką.

– Widać, że ma jajca nie tylko na pokaz – śmiał się ojciec Mateusza, puszczając oko do jego matki. – Morus nie przepuści nawet ślepej suce. Co drugi szczeniak w okolicy jest do niego podobny.

Dwadzieścia trzy lata później, kiedy Mateusz także był ojcem, pierworodny namawiał go, żeby kupił jamniczka albo jesz-

cze mniejszego psiaka, który będzie spał w pudełku przy łóżku w jego pokoiku. Synek zapewniał, że nie tylko wieczorem, lecz i codziennie rano, zanim pójdzie do szkoły, będzie wyprowadzał

psa do parku, zbierał jego kupy do woreczka i wyrzucał je do pojemnika na śmieci. Mateusz już miał się zgodzić, tym bardziej że Aldona stanęła po stronie Szczepka, gdy okulistka podczas badania okresowego najpierw coś znalazła i długo nie odzywała się, a potem powiedziała tonem zdecydowanym:

– Pies wykluczony.

– Co ma pani doktor na myśli?

– Pan jest nosicielem pasożyta poważnej choroby odzwierzęcej znanej jako toksoplazmoza. To szkodnik z grupy pierwotniaków.

Uśpiony nie jest groźny dla zdrowia człowieka. Przebywanie człowieka w towarzystwie zwierząt może obudzić pasożyta, co często prowadzi do zapalenia siatkówki i innych zmian w gałce ocznej, a w efekcie nawet do ślepoty – ostrzegła lekarka. – Pan prawdopodobnie jest podatny na choroby odzwierzęce. Proszę na siebie uważać.

Tamto Mateusz usłyszał dawno. Zresztą potem zapomniał

o ostrzeżeniu i nie przywiązywał większej wagi do tego, że jest nosicielem toksoplazmozy, a lekarka rodzinna nie doszukiwała się jej związku z wadą wzroku.

Ale skoro tyle lat przeżyłem bez czworonoga pod opieką, to i nikt mnie nie zmusi do tego, abym będąc dziadkiem, zachowywał się jak stary kawaler czy samotny wdowiec, który gada do zwierzaka, bo do kogo ma się odzywać, pomyślał Mateusz i postanowił, że nigdy nie będzie właścicielem psa, kota, złotych rybek, nawet kanarków czy papużek nierozłączek. Wcale tak nie musi być, żeby człowiek, którego stać na dom z ogrodem na przyjeźnym osiedlu, musiał opiekować się zwierzakiem.

Po co komu pies choćby najwierniejszy, najmądrzejszy, najgrzeczniejszy, najrzadszej rasy? Jaka z niego korzyść? Gdy li-

nieje, to zostawia sierść na dywanie. Wskakuje na twój fotel i tam śpi. Jesz niedzielny obiad, a on siedzi na tylnych łapach z głową za-dartą i się gapi, jakby błagał, abyś z nim podzielił się tym, co masz na talerzu, chociaż przed chwilą opróżnił swoją michę. Szczeka bez powodu i najczęściej wtedy, kiedy masz ochotę się zdrzem-nąć. Prawda, czasem położy ten swój kudłaty łeb na twoim kola-nie i niewinnymi ślepiami poprosi, abyś głaskał go po grzbiecie albo smyrał najpierw za lewym uchem, potem za prawym, po czole i jeszcze po szyi, za co w ramach podziękowania polize cię po rękach.

Żeby tylko tyle.

Nie pośpisz dłużej w niedzielę, bo z samego rana trzeba go nakarmić i napoić. Jeżeli mieszka razem z tobą w domu, to zanim nasypiesz karmy do jednej miski i nalejesz wody do drugiej, musisz go wyprowadzać na dwór, żeby nie zapaskudził podłogi.

Wiatr zrywa ci czapkę z głowy, deszcz siecze prosto w oczy albo sypie mokry śnieg, mróz szczypie w uszy, a ty kulisz się i klniesz na czym świat stoi, zamiast wylegiwać się pod pierzyną w ciepłut-kim łóżku.

Nie powiesz tego psu, bo on nie zrozumie twoich uwag. Ga-dzina cieszy się wolnością.

Masz rzadką okazję wyjechać ze znajomymi na weekend do Świeradowa czy Polanicy i w dzień połączyć po górach, a wieczorem się zabawić, ale nie możesz zabrać psa ze sobą ani zostawić go w domu, bo kto będzie się nim opiekował? Bez jedzenia wytrzyma dłużej niż pół dnia, ale nie bez wody. Musisz kogoś poprosić, aby rano, gdy się rozwidni, i wieczorem, zanim się ściemni, wyprowadził twojego psa na dwór, dał mu jeść, napoił. A co zrobić, jeżeli sąsiad jest na ciebie wkurzony właśnie z powodu tego, że masz psa, który głośno szczeka na podwórzu?

– *De facto* z powodu psa jego opiekun staje się więźniem

we własnym domu – powiedział Mateusz chyba z przesadną bezradnością wobec Darka i Grażki.

– Zawsze, kiedy to będzie konieczne, przyjadę rano i wieczorem, nakarmię, napoję, wyprowadzę twojego przyjaciela na spacer, nawet pozbieram jego kupy do woreczka i wyrzucę je do pojemnika na nieczystości – zapewnił go Darek.

– Rzecz jasna, na mnie również możesz liczyć, tym bardziej że codziennie przejeżdżam tuż obok twojego osiedla – zadeklarowała się Grażka.

– Jeśli z jakiegoś powodu nie będę mógł zaopiekować się twoim psem, zrobi to mój ojciec – jeszcze mocniej kusił Darek.

– Nie zechcesz skorzystać z naszej pomocy, w ostateczności zaprowadzisz swego przyjaciela do psiego hotelu i oddasz go pod pieczę opiekuna albo nawet dyplomowanego behawiorysty. A jeżeli zachoruje, bo pies jak każdy ssak choruje na zapalenie płuc, marskość wątroby, zawał serca czy raka, trzeba wezwać weterynarza albo zawieźć go do lecznicy. To przecież kosztuje. Nie dość, że wydatek, to ile czasu zabierze taka wizyta. Potem jedź do apteki po lekarstwa, znowu płąć, opiekuj się psem jak dzieckiem. Pół

biedy, jeśli po kilku dniach wyjdzie z choroby. A jeżeli wybrany najbliższy lekarz nie pomoże, to trzeba będzie zawieźć go do lepszego specjalisty, może nawet aż do uniwersyteckiej kliniki weterynaryjnej we Wrocławiu.

– Przestań wynajdywać dziwaczne przeszkody. – Aldona skarciła męża nie tylko nastawieniem do sprawy, lecz i ostrym spojrzeniem swoich zielonych oczu, po czym dodała zdecydowanie: – Będzie tak, Mateusz: ty postarasz się o psa, ja o kota.

– To i z kotem mamy mieszkać?

– Tato, skoro jesteś właścicielem okazałego domu na dużej posesji, to również powinieneś być opiekunem zwierzaka, żeby to duże podwórce czemuś służyło – powiedział Szczepek takim to-

nem, jakby on był głową rodziny. – Nie mam na myśli warczącego bez powodu kundelka.

– Słusznie, syneczku – poparła go Aldona. Zresztą zawsze trzymała jego stronę. – Nasz pies musi być duży i czujny, rasowy albo wyglądem przypominający rasowca, który będzie czekał

jedynie wtedy, kiedy ktoś niepożądany zechce dostać się z ulicy na naszą posesję. Ostatecznie może być bez rodowodu, ale musi prezentować się jak medalista.

– Istne myszygene! – zawołał Mateusz. Tak mówił jego ojciec, gdy wydarzyło się coś, czego nie rozumiał i czego się nie spodziewał.

Aldona dała znak Szczepkowi, żeby nie wdawał się w dyskusję. Na pewno będzie pies.

– Człowiek nie potrafi przewidzieć, z kim będzie miał do czynienia, a co dopiero pies, choćby rasowy, duży, czujny i wyglądający groźnie. Po czym taki zwierzak odróżni osobę mającą dobre zamiary od mającej złe zamiary, skoro jego mózg jest kilka razy mniejszy od mojego? – spytał Mateusz.

Odpowiedzi nie usłyszał.

DAREK POWIEDZIAŁ MATEUSZOWI, ŻE WIE, co zrobić, żeby mieć kundla za darmo i prawie natychmiast. Nie będzie to rasowy szczeniak, bo taki kosztuje co najmniej tyle, ile trzeba wydać na dwutygodniową wycieczkę na Chalkidiki w sezonie tu-rystycznym. Poza brakiem urzędowo stwierdzonego rodowodu i tatuażu na uchu lub w pachwinie kundel z wyglądu nie różni się od rasowca.

Mateusz przygarnąłby kundla, byle był duży, czujny i wyglądał groźnie, lecz jego żona była temu przeciwna. Aldona chciała mieć rasowca z papierami, najlepiej szczeniaka od zwycięzcy-ni wszystkich psich konkursów co najmniej w zachodniej Polsce.

Darek mu poradził, żeby wybrał się do schroniska dla zwierząt, gdzie za niewielkie pieniądze na pewno kupi takiego czworonoga, jakiego pragnie

Aldona. On stamtąd ma labradorkę Francę.

Mój Boże! – to było jedyne zawołanie, jakie wydał Mateusz Piesiewicz, ale tylko w myślach, gdy wszedł za bramę schroniska przy Szwajcarskiej. Dotąd nie widział w jednym miejscu aż tylu psów małych i dużych, łaciatych i pręgowanych, kudłatych i wy-liniałych, na trzech nogach, bez ogonów, jednookich, skulonych, wychudzonych, łaszących się, szczerzących zęby, warczących i obojętnych... Jak długo stąpa po ziemi, a to bez mała pół wieku, nie słyszał takiego popiskiwania szczeniaków i nie spotkał takiej nadziei w ślepiach ich smutnych matek. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, że skoro psiaki przyszły na świat, to jak wszystkie zwierzęta na świecie, chcą żyć na wolności, a nie za kratami.

– Na którego pan się zdecydował? – spytał kierownik schroniska, zatrzymując się przed pierwszym kojcem z cztere-ma szczeniakami. – Ich matka na pewno ma dużo wspólnego z jamnikiem szorstkowłosym. O ojcu, niestety, nic nie powiem, bo nie wiem.

– Żona chciałaby psa z rodowodem. I koniecznie musi być duży, groźnie wyglądający, w dodatku czujny. Najlepiej młody.

Kierownik poskubał się po brodzie, zrobił dwa kroki w bok, stanął tyłem do Piesiewicza i zwiesił głowę. Wyglądało to tak, jakby się zastanawiał, czy jest w stanie sprostać oczekiwaniu jego żony.

– Proszę bardzo. – Pokazał na psa czarnego z rudym pod-paleniem, stojącego mocno na masywnych nogach i łypiącego mi-gdałowymi ślepiami w stronę obu mężczyzn, jakby rozumiał, że od dobrej prezentacji zależy jego los. – Owczarek alzacki albo niemiecki, popularnie nazywany wilczurem. Rasa doskonale spisu-jąca się w rozmaitych służbach. Ten ma nie więcej niż trzy, cztery

lata. Ogólnie rzecz biorąc, pies przyjazny, posłuszny, wierny i lubi dzieci. Niestety, z zasady panem wilczura powinien być stanow-czy mężczyzna.

Piesiewiczowi spodobał się wilczur, mimo to spytał:

– Może jest tu taki zwierzak, który uzna kobietę za swoją panią?

Kierownik wskazał ręką kojec po lewej stronie.

– Prawdopodobnie efekt przypadkowej krzyżówki owczarka kaukaskiego z berneńczykiem. Powstał mieszańiec wyjątkowo spokojny, flegmatyczny, wręcz ospały. W kolejnym pokoleniu mogą się ujawnić, niestety, agresywne cechy kaukaza. Mogą, ale nie muszą.

– Interesuje mnie pies, który ma więcej ikry.

Kierownik prowadził Piesiewicza wzdłuż kójców i, zaglądając do notatnika, wyjaśniał, jak długo pies czeka na opiekuna lub kiedy strażnicy miejscy czy policjanci przywieźli go na Szwajcarską albo co się stanie z czworonogiem, jeżeli nikt nie zechce go adoptować.

– Według normy sanitarnej w naszym schronisku może przebywać najwyżej trzysta zwierząt, a jest, niestety... Niech pan zgadnie.

– Trzysta pięćdziesiąt – rzucił Piesiewicz na odczepnego.

– Pięćset osiemdziesiąt dziewięć. Pewnie dziś oszczenią się dwie suki, będzie o cztery, sześć więcej. Mało która suka rodzi jedno szczenię. Na ogół dwa, trzy, a bywa i nawet pięć w miocie.

Nasza rekordzistka wydała na świat osiem i, proszę sobie wyobrazić, wszystkie wykarmiła.

– Wspaniale.

– Wspaniale? – Kierownik splótł ręce przed sobą, przechylił głowę i potępiającym spojrzeniem skarcił Piesiewicza. – Z kasy urzędu miejskiego dostaję pieniądze na utrzymanie trzystu psów,

a muszę nakarmić prawie dwa razy więcej. Bywało, że nie chciałem przyjąć bezdomnego kundla, wtedy naczelnik wydziału miał

do mnie pretensje. Pytałem, gdzie mam go umieścić, skoro kojce są nawet na przejściu dla pieszych. Czym nakarmić? Naczelnika to, niestety, nie interesowało.

– Sytuacja bez wyjścia – bąknął Piesiewicz, co kierownik potwierdził, kiwając głową.

W większości kojców było po jednym psie.

– A oto szczęściarz, który wreszcie doczekał się swego pana! – Kierownik pociągnął Piesiewicza za rękaw kurtki i pokazał na pręgowanego boksera. – Z reguły osobniki tej rasy są czujne, odważne i niezbyt żywiołowe. Niestety, mówię jak jest, lubią dominować.

– Skoro doczekał się swego pana, to ma powód do okazania radości.

– O, jak majta kikutem ogona. Szczęściarz. Jest u nas dopiero od niecałych dwóch tygodni i już znalazł dom. Inne czekają miesiącami. Zdarza się, i to nie tak rzadko, że tu zdychają.

– A jak się wabi?

Kierownik najpierw podniósł oczy na tabliczkę nad drzwiczkami, potem przewrócił kilka kartek w notatniku.

– Numer pięćset siedemdziesiąt sześć. Fartowny kojec, niestety. Teraz jest Saszka. Przed nim był tu Szafran, też bokser, tyle że żółtorudy. Przywieziony osiemnastego, adoptowany tydzień później – powiedział kierownik, przenosząc wzrok z notatnika na psa. – Zabierze go pan już teraz czy dopiero po podpisaniu umowy?

– To znaczy, że po podwórzu wokół mojego domu będzie biegał płaskonosy, zaśliniony zwierzak z kikutem zamiast mocnego ogona? – spytał sam siebie Mateusz. I zaraz sam sobie odpowiedział: „A dlaczego nie?”. Ale czy Aldona będzie chciała pogłas-

kać psa bez urzędowo stwierdzonego rodowodu? A jeżeli spyta, gdzie miałem oczy, decydując się na boksera, i każe wracać z nim tam, skąd przyjechałem?

– Niech się pan zdecyduje.

– Wszystkie psy mi się podobają. Gdyby tylko ode mnie zależało, przygarnąłbym pierwszego z brzegu – usprawiedliwił

się Piesiewicz, mimo że kierownik tego nie oczekiwał. – Poproszę żonę, żeby ze mną przyjechała do schroniska i wybrała takiego psiaka, który ją uszczęśliwi. Będzie jeszcze lepiej, jeśli razem z żoną przyjedzie syn i kandydatka na synową.

W CZWARTEK OD RANA COŚ WAŻNEGO ZAJMOWAŁO ALDONEŃ w kancelarii. Szczepiek też miał setkę pilniejszych spraw do załatwienia. Jedynie Oli nic nie zatrzymywało. Mimo to Mateusz przełożył wyjazd do schroniska na piątkowe popołudnie.

– Czy masz już najlepszego przyjaciela? – spytała w czwartek Grażka, żona uniwersyteckiego profesora, z wykształcenia prawniczka jak Mateusz i Darek, z zamiłowania kociara, psiara, ogrodniczka i amatorka wiejskiego powietrza, która z tego powodu postawiła dom w Barcikowicach Średnich. Przed laty dokładnie w tym samym miejscu jej dziadek siał żyto i sadił kartofle.

Niczego nie ukrywając, Mateusz opowiedział, jak było w schronisku, co Grażka jako żona filozofa uznała za prawidłową reakcję człowieka wrażliwego na krzywdę i nieszczęście bezbronnych istot. Poczawszy się pewniej po tych słowach, Piesiewicz zapewnił ją, że od piątkowego popołudnia jakiś czworonóg będzie cieszył się wolnością na podwórzu wokół jego domu. Wtedy Grażka zmrużyła oczy, uśmiechnęła się tak, jak potrafi kusicielka, i odezwała się z niemożliwą do opisania tajemnicą w niemal aksami-tnym głosie:

– Nie musisz jechać do schroniska.

– Obiecałem kierownikowi. Uzgodniłem z żoną, synem i przyszłą synową...

– Jutro przed wieczorem będziesz miał psa – oznajmiła tonem zdecydowanym, co było w jej stylu.

Darek też oderwał wzrok od dokumentów rozłożonych na biurku.

– Od ciebie, Grażka? Oddasz mi któregoś ze swoich kundli? Pieska czy suczkę? Wolałbym dużą suczkę. Chociaż piesek też może być. – Zamiast jej podziękować, przynajmniej uśmiechnąć się z udawaną wdzięcznością, Mateusz nagle stracił humor. Przypomniawszy sobie, że Aldona domaga się, aby po posesji przy Podolskiej biegał pies duży i czujny, groźnie wyglądający, który nie będzie szczekał bez powodu, z papierami, a jeśli bez rodowodu, to prezencją podobny do medalisty. – Chyba... On musi być na wielki złoty medal, a nie wyglądać jak parodia psa. Czyli nie kurdupel jamnior, pudelek-dupelek czy ledwie odrosły od ziemi foksterie-rek. Nie wiecznie ośliniony buldog. I nie żadna chihuahua albo, nie daj Bóg, pekińczyk. Oczywiście nigdy kundel czy przybłęda.

Ma być rasowy. Ra-so-wy.

– Twoja żona na pewno będzie zadowolona – powiedziała Grażka tak zdecydowanie i rozstrzygająco, jakby wiedziała lepiej niż Mateusz, czego oczekuje Aldona, po czym się wyprostowała i zrobiła najbardziej tajemniczą minę.

Darek znowu oderwał się od dokumentów, które analizował lub udawał, że je analizuje.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłam?

– Nigdy.

W piątek, zaraz po naradzie u prezesa sądu, Piesiewicz wyszedł do sklepu zoologicznego po płyn do dezynfekcji pomieszczeń. W sobotę z rana odkaził nim budę, kojec i wszystkie miejsca, w które może zajrzeć pies. Zrobił to dwukrotnie i tak dokładnie,

że po rottweilerze poprzedniego właściciela domu już nie było zapachu ani śladów. Ponadto pomalował bramkę kojca. Nawet kupił miskę i poidło z samoczynną przykrywką.

– Na pewno z rodowodem? – spytała Aldona przy niedzielnym obiedzie. Przy podwieczorku ostrzegła Mateusza: – Bo jeśli nie będzie miał

autentycznych papierów, choćby był bardziej czujny niż ochroniarz w naszej Biedronce, oddasz go do schroniska.

– Jak się wabi? – spytał Szczepiek. W dyskusji przy stole nigdy nie brał strony ani matki, ani ojca, co nie oznacza, że nie miał

swojego zdania. – Oby nie był Marleyem, Plutem, Klakierem, Pon-giem, Reksiem czy jakimś Szarikiem – przypominał książkowych bohaterów.

– Brutusem może być?

– A czy rodowód i imię jest najważniejsze u przyjaciela?

– wtrąciła się Ola, bezdyskusyjna kandydatka na matkę wnuków Mateusza i Aldony. Powiedziała to jak zawsze spokojnym tonem, za co ją przyszli teściowie cenili i poważali. – Najważniejsze, żeby pies rozumiał, że ma swoją budę i swego pana, który troszczy się o niego. Nikt nie lubi być sam – dodała, kładąc swoją dłoń na dłoni Szczepka i z wdzięcznością patrząc mu w oczy.

Mateusz chciał powiedzieć, że będzie z nich ładna para, lecz tym razem Aldona go uprzedziła, więc tylko zdążył dodać:

– Szczęście każdego człowieka, najpewniej i zwierzęcia, zaczyna się wtedy, kiedy ma dla kogo żyć.

NA DWORZE SZARZAŁO, GDY PRZY FURTCE przed domem Piesiewiczów zatrzymała się wiśniowa renatka Grażki. Oboje natychmiast wybiegli na ulicę, wołając Szczepka i Olę. Żadne się nie odezwało. Wycelowali wzrok w bagażnik samochodu i przygarbieni, z szeroko otwartymi oczami czekali na to, co z niego wyskoczy. Zadawali sobie to samo pytanie: jak wygląda pies, który ma

zostać ich najlepszym przyjacielem i gospodarzem na podwórzu?

Pokraczny kundel czy dumny złoty medalista z rodowodem?

– Gacek, wyskakuj! – wydała komendę Grażka, otwierając klapę bagażnika renatki. – Przywitaj się ze swoim nowym panem!

– Jak nietoperz? – Aldona się skrzywiła, wyraźnie niezadowolona z imienia psa. – Myślałam, że przywieziesz Brutusa, Reksa albo jakiegoś Maksa. W ostateczności mógłby być Oskar lub Borys. Mój szef ma oślinionego boksera, wabi się Lechu. „Lechu, do nogi!”. Pasuje? Pasuje. A „Gacek, do nogi”?!

– Przyjęło się, że zwierzęta nie otrzymują ludzkich imion, a przede wszystkim imion osób uznanych za wybitne – wyjaśniła spokojnie Grażka, jak to tylko ona potrafi. – Zresztą jeśli będziesz bardzo chciała, możesz zmienić mu imię na takie, jakie ci się podoba. Gacek to inteligentny pies, prawie od urodzenia wychowany w domu naukowca, szybko więc przyzwyczai się do nowego za-wołania. A nawiasem mówiąc, powinnaś wiedzieć, że będący pod ochroną gacek z rodziny nietoperzy jest sympatycznym i bardzo pożytecznym ssakiem z rodziny mruczkowatych. Jest pod ścisłą ochroną gatunkową.

Mimo że Aldona nie lubiła przegrywać, nie odezwała się.

Splotła ręce przed sobą i patrzyła w stronę lasu, jakby to, co się działo na ulicy metr od niej, nie miało żadnego znaczenia lub jej nie dotyczyło.

Mateusz czekał, kiedy żona spyta o rodowód Gacka.

Dopiero teraz wysiadł z renatki łysiejący mężczyzna w popularnych ostatnio okularach, brodaty i wąsaty, w modnej mary-narce w kratę, z apaszką wymykającą się spod koszuli rozpiętej niemal do pępka. Zaraz za nim pokazały się dwie dziewczynki w spranych dżinsach z dziurami na udach i kolanach.

– Rafał Dudek, kolega mojego męża z uniwersyteckiego in-stytutu filozofii i kognitywistyki, specjalista w zakresie etyki, dok-

tor habilitowany. Prawdopodobnie jeszcze w tym roku zostanie profesorem belwederskim, jak się dawniej mówiło, czyli zwyczajnym – przedstawiła go Grażka, uśmiechając się do wszystkich i do nikogo.

Etyk wyciągnął kościstą dłoń najpierw do Aldony, potem czubkami palców dotknął ręki Mateusza, jakby się go brzydził.

Opartych o furtkę Olę i Szczepka zlekceważył albo ich nie widział

przez te swoje aviatory w transparentnych oprawkach. Identyczne miał Mateusz, ale zakładał je tylko wtedy, kiedy siedział za kierownicą passata. A połyskujący napis Ray-Ban na zausznikach zdarł jeszcze w sklepie optycznym.

Mimo szarówki Mateusz dostrzegł wilgoć w oczach obu dziewczynek.

– Panny, tu będzie najlepiej Gackowi – zapewniła je Grażka, podając Mateuszowi smycz, kaganiec, dwie plastikowe miski i jeszcze coś, czego on nie potrafił nazwać, a co wyglądało jak pon-ton. – Od tej chwili to jest twój, przepraszam, wasz pies – zwróciła się do Aldony. Do Mateusza powiedziała: – Zaprowadź go do kojca. Tam ma budę. Nie zapomnij nalać czystej wody do niebieskiej miski. Czerwona jest na karmę.

– Gaculek będzie mieszkał w budzie jak wiejski kundel, a nie w willi? – zdziwił się doktor habilitowany. – Zapewniałaś mnie, że idzie w dobre ręce – ofuknęła Grażkę.

– Lepszego opiekuna Gacka niż mój szef nie znajdziesz –

pokazała na Piesiewiczza.

– Może jednak...

– Takiego psa wolałbyś oddać do schroniska?

– Uchowaj Boże. To mi nawet nie przyszło do głowy – bronił się etyk. – Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że nasz Gaculek będzie mieszkał razem z państwem w willi. On przecież jest przyzwyczajony do ciepła domowego ogniska.

– Mój kolega kupił willę dla siebie i swojej rodziny, a dla psa odkaził budę w kojcu osłoniętym zimozielonym bluszczem.

Trzymając Gacka przez rok w korytarzyku między dwoma poko-jami, wyrządziłeś mu krzywdę. W bloku na ósmym piętrze czuł

się gorzej niż kardynał Wyszyński w areszcie domowym u nazaretanek w Komańczy. Dopiero tu pies będzie zadowolony. – Grażka popchnęła furtkę i pokazała głową na podwórze. – Popatrz, ile ma miejsca do gania.

– Nasz Gaculek nie jest zwyczajnym psem jak te bezpańskie kundle, które szwendają się po wsi.

– Jeśli mi jeszcze powiesz, że Gacek jest przyzwyczajony do specjalnego jedzenia...

– Tylko karma z najlepszych firm amerykańskich. W ostateczności z niemieckich lub szwedzkich. Nigdy z polskich.

– Etyku uniwersytecki, o mało co profesorski, pies jest zwierzęciem mięsożernym. Miskę suchej karmy z najlepszych fabryk odda za coś, co ty nazywasz ochłapami. On rozsmakuje się w zwyczajnej kości.

– Sucha karma zawiera wszystkie niezbędne składniki pokarmowe w odpowiedniej proporcji, a więc białko, węglowodany, tłuszcze, minerały i witaminy. Jej produkcja odbywa się w warunkach higienicznych i jeszcze pod nadzorem służby weterynaryjnej.

Grażka zacisnęła pięści, ale ich nie podniosła. Chroń nas, święty Rochu, patronie zwierząt, przed takimi mędrkami. Zamiast tego powiedziała do etyka:

– Wyobraź sobie, że jesteś w ekskluzywnej restauracji na Starym Rynku. Kelner podaje ci na talerzu nie golonkę w piwie i bukiet pachnących świeżością jarzyn, lecz kupkę chrupków przy-pominających wysuszone bobki. Patrzysz na to z obrzydzeniem, a on ci tłumaczy, że to jest potrawa zawierająca wszystkie składniki

pokarmowe w odpowiedniej proporcji. Nad ich produkcją czuwał

zespół składający się z profesorów gastrologii, higieny, sztuki i jeszcze czegoś.

Jak przed chwilą doktor habilitowany chciał bronić swojej wiedzy, tak teraz zrezygnował z wymądrzania się i tylko machnął

ręką, jakby zabrakło mu argumentów nie do podważenia.

– Proszę pana, czy będziemy mogły odwiedzać Gaculka? –

spytała płaczliwym głosem mniejsza dziewczynka.

– Oczywiście – zapewnił ją i jej siostrę Mateusz. – Tyle razy, ile zechcecie.

– A czy jutro po południu możemy przyjechać?

– Zapraszam was, dziewczynki, każdego popołudnia. W

niedziele możecie być tu od rana. Waszego tatusia także zapraszam – powiedziała Aldona, najpierw uśmiechając się do dzieci, potem do doktora habilitowanego. – Jutro najpierw pójdziemy z Gackiem do lasu, a po obiedzie, który przygotowują wspólnie Ola i Szczepiek, będziemy odpoczywali na trawniku przed domem.

Będą lody, lemoniada i jeszcze coś dla dorosłych.

Nigdy więcej Mateusz nie widział o mało co profesora zwyczajnego ani jego córeczek. Po rozwodzie z żoną wyjechał ze swoją asystentką do metropolitalnego miasta, gdzie wykładał etykę w dwóch prywatnych uczelniach.

Według Grażki, która była świadkiem na pierwszej rozprawie rozwodowej, doktorowa tłumaczyła sądowi, że już ma dość gładzenia ślubnego o moralności, przyzwoitości, uczciwości i temu podobnych abstrakcjach, dlatego błaga o szybkie rozwiązanie ich małżeństwa, a winę bierze na siebie, mimo że nie czuje się winna. Oczywiście obie córki muszą pozostać przy matce, zresztą wkrótce powtórnie wyjdzie za mąż, tym razem za naprawdę od-powiedzialnego mężczyznę, i wreszcie dziewczynki będą miały opiekuna z głową na karku, a nie w chmurach.

Doktorowa dopominała się od wysokiego sądu sprawiedliwego podziału wspólnego majątku, to znaczy ona powinna zabrać wszystkie bransoletki,

pierścionki, kolczyki i naszyjnik z metalizowanych pereł, który dostała od teściowej zaraz po urodzeniu pierwszej dziewczynki. Kiedy urodziła się druga córka, teściowa już nie żyła, wtedy teść podarował młodej matce obligacje zakładów mięsnych Przylep, lecz rok później papiery stały się bezwartościowe, ponieważ zakłady padły, więc ona zrzekła się prawa do nich.

Zrzekła się akcji Przylepu, ale jako rekompensata za utracony kapitał na jej konto powinny wpływać honoraria za te książki oznaczone imieniem i nazwiskiem ślubnego, które ona poprawiała jako polonistka. Doktorowa domagała się samochodu, dwóch obrazów olejnych pędzla nieznanego malarza z dziewiętnastego wieku i trzech czwartych pieniędzy ze sprzedaży mieszkania.

– Gdy sąd podzielił majątek i dzieci zostawił przy matce, został jeszcze pies, którego żadne nie chciało. Sędzia zaproponował, aby oddali Gacka do schroniska dla bezdomnych zwierząt.

Wtedy ja przypomniałam sobie o twoim poszukiwaniu najlepszego przyjaciela – powiedziała Grażka nieskromnie i zatarła ręce, jakby oczekiwała co najmniej podziękowania na piśmie i butelki francuskiego wina.

– A jak na twoją propozycję zareagowały dziewczynki?

– O mało co profesor zwyczajny wmówiłby młodszej córce, że ona jest winna. Gdyby wracała ze szkoły do domu nie na skróty, czyli przez plac budowy kościoła, lecz uliczką między blokami i patrzyła pod nogi, to nie zauważyłaby Gacka. Tego dnia lało od samego rana, stróż schował się w baraczkę, a szczeniaka, zamiast zabrać ze sobą pod dach, przywiązał łańcuchem do betoniarki. Zmoknięty, skulony, trzęsący się z zimna, pewnie i głodny, skomlał płaczącym głosem dziecka błagającego o zmiłowanie.

Gdybym coś takiego zobaczyła, również nie byłabym obojętna, to i doktorówna zabrała psinkę do swojego domu. Jej rodzice z początku się krzywili, ale potem nawet byli zadowoleni z obecności Gacka w mieszkaniu na ósmym piętrze. Na zmianę rano i wieczorem dziewczynki

wyprowadzały psiaka na trawnik przed blokiem, gdzie nauczyły go podawania łapy, aportowania, warowania i chodzenia przy lewej nodze, a nawet szczekania na zawołanie. Większość porzuconych czy wręcz bezdomnych psów błyskawicznie potrafi się odwdziżyć swemu nowemu panu za wikt i opierunek, czego najlepszym przykładem jest Gacek – zakończyła składać sprawozdanie Grażka, doświadczona znawczyni zwierzęcych charakterów.

Mateusz zapytał, dlaczego dzieci nazwały psa Gackiem, ale tego ona nie wiedziała i nawet nie potrafiła się domyślić, co było zastanawiające, bo jako żona uniwersyteckiego filozofa dorówny-wała mężowi w udzielaniu wymijających odpowiedzi, a jeśli chodzi o zwierzęta, niekiedy go przewyższała.

– Gdy nadarzy się okazja i nie zapomnę, to na pewno powtórzę twoje pytanie eksdoktorowej albo jego dziewczynkom –

zobowiązała się Grażka.

Widocznie okazja się nie nadarzyła.

ALDONA ZAPROSIŁA PROBOSZCZA DO ICH NOWEGO

DOMU nie wtedy, kiedy jest czas kolędowania, a miesiąc wcześniej. Gdy o tym powiedziała mężowi, jak było do przewidzenia, zrobił pytającą minę, bo w bloku na Słonecznym ksiądz nigdy nie przestąpił progu ich mieszkania. Swoją decyzję tak wyjaśniła:

– Nie zaszkodzi, mój kochany, jak ksiądz poświęci nasze gniazdko na dni dobre i czasem gorsze. Tych drugich oby było jak najmniej. I się pomodli, pobłogosławi nam, poświęci to, co już mamy i czego, mam nadzieję, jeszcze się dorobimy. A w ogó-

le to trzeba każdemu człowiekowi ufać i należy wierzyć. Nie byłam i nie jestem ateistką, ale dotąd sceptycznie podchodziłam do wiary, a teraz zaczynam wierzyć. Przede wszystkim wierzę, że wiara naprawdę czyni cuda. Chcieliśmy mieć dom pod lasem?

Mamy. Będziemy mieli synową. Wnuki przyjdą na świat. – Aldona uśmiechnęła się szeroko. – O nic więcej nie pytaj. Zaakceptuj to, co w kwestii wiary już powiedziałam i co jeszcze powiem. Jestem kobietą, a każda kobieta lepiej niż mężczyzna zna życie. Można wierzyć i można udawać, że się wierzy. Takie czasy, sąsiedzi wyżej cenią wierzących.

– Ale przecież... – zaczął Mateusz i urwał, spiorunowany spojrzeniem żony.

– Przykład pierwszy z brzegu. Gdyby nasza dawna znajoma z bloku, pani Janeczka, ta, co mieszkała zaraz przy windzie, nie wierzyła, że wyzdrowieje, dawno byłaby na tamtym świecie. A pani Janeczka nieustannie gotuje, sprząta, pierze i mimo stwardnienia rozsianego, które przez największe autorytety medyczne wciąż jest uważane za chorobę nieuleczalną, co drugą noc pewnie robi z mężem to, co robi każda zamężna kobieta. Wiara dodaje jej siły. Nie jestem taka naiwna, abym wierzyła, że tylko wiara. Jeśli nic nie pomaga, mój kochany mężu, to pomaga wiara. A czasem bywa, że nic tak nie leczy ciała i duszy, jak właśnie wiara. Mam wiele znajomych, może więcej od ciebie, ale żadna nie powiedziała, że wiara jej zaszkodziła. Chociaż podobno ksiądz Tischner miał

odwagę powiedzieć, że pobożność jest ważna, ale rozumu nie zastąpi.

Akurat z argumentem filozofa w sutannie Mateusz się zgadzał. Mimo to milczał przekonany, że nie wygra. Choćby przywołał niemożliwe do obalenia potwierdzenia, nie chciał zadzierać z żoną. Aldona uznała to za swój sukces, zresztą nie pierwszy raz, i nakazała:

– Jak proboszcz wypije kawę, podziękujesz mu i zaproponujesz ofiarę na potrzeby parafii. Mój ojciec zawsze wkładał pieniądze do białej koperty. Słyszałam, że niektórzy zwijają banknot i dają go księdzu przy pożegnaniu wprost do ręki. Zresztą zrobisz tak, jak uważasz. Tylko, mój kochany, daj mu nie jeden, a kilka banknotów. Najlepiej jeśli wymienisz złotówki na dolary. Proboszcz przyjdzie do nas pierwszy raz, to powinien zapamiętać, co i ile dostał. Na osiedlu ludzie nie są zbyt hojni, a skoro nas było stać na dom, trudno, trzeba odżałować na proboszcza. Mój ojciec powtarzał, że z księdzem, doktorem i grabarzem zawsze warto żyć w zgodzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy każdy z nich może być potrzebny.

Proboszcz przyjechał punktualnie, chociaż mógł przyjść, bo dom Piesiewiczów stoi niedaleko plebanii, ale pewnie sąsiedzi by pomyśleli, że idzie z ostatnim namaszczeniem do umierające-go. Mateusz czekał przed bramką, aż ksiądz wysiądzie z nubiry i podejdzie do płotu, wtedy powita go z szacunkiem nie mniejszym niż ten, jaki dotąd okazywał teściowej. Gdy się odezwał, z głębi podwórza przybiegł pies i zaczął pomrukiwać owacyjnie, jakby i on witał proboszcza, merdając przy tym swoim długim, włocho-tym ogonem.

– Gacek, natychmiast do kojca! – zawołał stanowczo i wyraźnie Mateusz, aby zwierzak nie miał wątpliwości, kto jest panem i czego od niego żąda.

– Gacek? – zdziwił się ksiądz, zatrzymując się w rozwartej bramce.

– Gacek.

– A mnie mówili, że Jacek. Że pies ma święte imię.

– Kto to księdzu powiedział?

Nie odwracając się, proboszcz wskazał ręką dom z płaskim dachem po drugiej stronie ulicy.

– Pan mieszka tu od niedawna, to i oczywiście jeszcze nie wie, że u nas o wszystkim, co jest nowe, niepewne lub podejrzone, ludzie najpierw donoszą swemu kapłanowi, dopiero potem swojemu dzielnicowemu i czasem swojemu radnemu. – Roześmiał się, ksiądz dodał: – Gacek... bardzo oryginalne imię. Nikt na osiedlu nie ma Gacka. Naprawdę ładny pies. Pewnie i inteligentny. No i gołym okiem widać, że czysty rasowiec. Taki okaz musiał

dużo kosztować.

– JAK BOŻIĘ SZCZERZE KOCHAM, NAJPRAWDZIWSZY

BELG! Niech mnie kule biją, rasowy! – wykrzyknął sąsiad Mateusza Piesiewicza z za lasu, Zbigniew Kruszyłowicz, zwany Szeryfem tylko dlatego, że postawił dom drewniany jak z amerykańskiego filmu i ogrodził